

We mgle



HENRYK SIENKIEWICZ

We mgle

Podczas burzliwego roku w Warszawie¹ naprzód przyszedł do Zawady list, tak ogromnie smutny i stroskany, jak smutne i pełne troski jest ubogie, wdowie życie. Brzmiał on, jak następuje:

„Kochany Marianie! Piszę do Mariana z wielką i nieśmiałą prośbą, czy by nie był tak dobry, zamiast tych stu pięćdziesięciu rubli, które mi Marian wypłaca od kapitału, wziąć moich chłopców na jakiś czas do Zawady. Bóg widzi, że robiłam, co mogłam, ale już mi ręce opadają. Strajk ciągle trwa w szkołach rządowych, a o prywatnych, które są drogie, nie mogę myśleć dla jednego nawet, a cóż dopiero dla obu. Marian wie, z jakim ja wysiłkiem wiązałam od śmierci męża koniec z końcem, ale wszystko ma swoją granicę. Gdybym nie potrzebowała myśleć o chłopakach chociaż do lata, to za te czterysta rubli emerytury, które mi po mężu wypłaca prokuratoria, jeszcze bym jakoś z Julką wyżyła, ale we czworo — ani sposób! Tu co chwila robią się rozmaite nowe strajki, a z tego drożyzna, jakiej jeszcze nigdy nie było. Po wyjeździe chłopców najęłabym w tym samym domu jeden pokoik z kuchenką, to by zaraz pół kosztu na mieszkanie odpadło. Mówią niektórzy, że od lata i szkoły rządowe będą polskie, a i ja myślę, że może Bóg zmiłuje się nad nami. Gabriel jest bardzo zdolny, a Felicjan miał już tylko rok do skończenia. Obaj zarabiali trochę lekcjami, ale teraz to się stanowczo urwało. Wiem, co Marian pomyśli: że chłopcy rozpróżniaczą się na wsi. Ale oni wezmą ze sobą książki, a zresztą czyż nie gorzej rozpróżniaczą się w Warszawie? Jeśli szkoły rządowe będą od lata polskie, to łatwiej będzie o uwolnienie od wpisów i o stypendia, bo przecież swój swego prędzej zrozumie i wspomże. Adwokat Krasucki, którego Marian zna, mówił parę dni temu, że wkrótce wszystko się zmieni. Dajże to, Boże miłosierny, gdyż naprawdę już oddychać trudno. Chłopcy tymczasem mogliby w Zawadzie pomagać czy to w rachunkach, czy przy dozorze ludzi. Może i w okolicy znalazłoby się dla nich jakie zajęcie, a jeśli nie, to w każdym razie będzie im w Zawadzie zdrowiej niż tu — i bezpieczniej. Młodym potrzebne jest powietrze, obfity posiłek i sen, i spokój — zwłaszcza Gabrielowi, który jest bardzo delikatny i nerwowy, a w mieście tego wszystkiego mu brak, gdyż na lepszą kuchnię mnie nie stać, a co do spokoju i spoczynku, to jeszcze gorzej. Oni obaj ciągle chodzą na jakieś narady z kolegami, z których często wracają ogromnie późno. W Zawadzie będą się mogli przynajmniej dobrze wysypiać, bo co do tego, co mi ktoś mówił, że w domu u Mariana zaczęło straszyć, to chłopcy z tego się śmieją; Feliś także nie bardzo jest silny, ale szczególnie na Gabriela trzeba uważać. Przepraszam kochanego Mariana, że nie wiedząc jeszcze, czy moja prośba na co się przyda, już z góry tak wszystko wypisuję, ale ośmiela mnie do tego ufność w poczciwe serce Mariana i jego dla nas życzliwość. Co do procentu, to stanowczo nie trzeba mi go przysyłać, bo ja przecie rozumiem, że w Zawadzie złota się nie kopie. Niech tylko Marian chłopców teraz przygarnie, a będę mu wdzięczna do śmierci.

¹burzliwy rok w Warszawie — rok rewolucji 1905. [przypis edytorski]

Wreszcie powiem już szczerze, że choćbyśmy mieli za co żyć, to i tak wolałabym, żeby chłopcy wyjechali teraz z Warszawy. Tu jakieś dziwne wiatry wieją — Bóg wie, czego nawiewają, zwłaszcza do młodych głów. Wahałam się, czy wszystko otwarcie napisać, żeby Mariana nie zrazić, ale trzeba powiedzieć prawdę. Chłopcy są poczciwi i mają złote serca, ale z wielkim bólem wyznają, że oni jakoś inaczej już myślą, a pozornie to nawet inaczej czują niż my. Ja się na nich nie skarżę, niech mnie Bóg broni, tylko powiadam, jak jest i jakie jest to dzisiejsze pokolenie, które musiało chodzić do rządowych szkół. Oni opierają się wpływowi szkoły z całej duszy, a jednak coś w nich wsiąkło jakby obcego — a jak potem przyszły jeszcze te wypadki i te wszystkie pojęcia i przekonania, naniesione Bóg wie skąd i przez kogo, to się dzieciom całkiem głowiny pozawracały. Wiem, że inteligentniejsi otrząsną się z tego prędzej-później, zwłaszcza tak zdolne chłopcy jak moje, ale tymczasem niech się Marian nie gniewa, jeżeli mu się czasem wyda, że im nie chodzi już tak o to, o co nam chodziło *i za co wylało się tyle krwi i łez*. Jak przyjdzie między nami do takiej rozmowy, to i ja przekonywam, ile potrafię, a potem w nocy modłę się za nich i popłacę trochę do poduszki. Ale Marian — to co innego. Marian był w Czechach na praktyce, widział świat i ludzi, więc potrafi w niejednym ich przekonać i w niejednym im zaimponować — byle cierpliwie, byle łagodnie, bo to dzieci. Oj, co za okropne czasy przyszły, mój Marianie, co za bieda! I przedtem było źle, ale dawniej, jeśli się nieszczęście z dziećmi zdarzyło, *to przynajmniej dla Ojczyzny*, a teraz można je stracić dla byle czego — i wtedy żadnej już nie ma pociechy. Więc ja także i z tej przyczyny proszę, żeby Marian Felisia i Gabriela na ten najgorszy czas przygarnął — i po ojcowsku ich w tym co potrzeba oświecił. Dobrocią można ich do wszystkiego doprowadzić, a ja się będę modliła, aby Bóg dał Marianowi jak najlepsze zdrowie. Mała Julka ręce stryjaska całuje, a ja proszę jeszcze, w razie gdyby były mrozy, o przysłanie jakich ciepłych rzeczy, bo chłopcy mają tylko szynele². Dziękuję Marianowi z góry za wszystko i pozostaję z wdzięcznością.

Przywiązana

Zofia Nowicka.

PS. Niech Gabriel przeczyta w Zawadzie Marianowi swoje wiersze. Ja, jako matka, nie mogę o nich wydawać sądu, ale Krasucki także powiada, że chłopiec ma ogromny talent”.

Marian Nowicki, właściciel Zawady, był to starzejący się kawaler, zasiedziały na wsi, zapracowany na małym i mało intratnym³ kawałku, trochę egoista, a zresztą człowiek niezły i niegłupi. Dla bratowej, o której mawiał: „Zacna, ale egzaltowana kobieta” — żywił w głębi duszy nadzwyczajny, lubo⁴ trochę bezwiedny szacunek, a o jej ciężkim życiu i o niej samej myślał zawsze z pewnym rozczuleniem. Byłby się może z nią po śmierci brata nawet ożenił, gdyby nie to, że już był zbyt ociężały⁵ i bał się ciężaru nad siły, zmiany życia, a nawet i tych zabiegów, które są konieczne przed małżeństwem. Rzadko też bywał w Warszawie, trochę z powodu kosztów, a trochę z obawy, aby mu postać bratowej, mająca jeszcze mimo siwiejących włosów jakiś paniński urok, nie napędzała „niepraktycznych” myśli do głowy. Kochał jednakże szczerze małą Julkę. Dla chłopców, których zwał basałkami⁶, był dość obojętny.

Po przeczytaniu listu naprzód skrzywił się, potem zatroskał, a w końcu wzruszył — i począł chodzić po pokoju namyślając się, czy przystać na przyjazd chłopaków, czy też

²szynel — płaszcz mundurowy. [przypis edytorski]

³intratny — dochodowy. [przypis edytorski]

⁴lubo (daw.) — choć, chociaż. [przypis edytorski]

⁵był (...) ociężały — daw. forma czasu zaprzeczonego; znaczenie: ociężały (stał się ociężały) wcześniej, przed innym zdarzeniem a. czynnością wyrażonym w czasie przeszłym. [przypis edytorski]

⁶basałki — tu: żart. urwis, nicpoń; pierwotnie: bicz zakończony kolczastą metalową kulką, używany przez Tatarów jako broń. [przypis edytorski]

— po wyszukaniu przyzwoitych pozorów — odmówić. Nie odpowiedział jednak tego samego dnia, gdyż odwołano go do furmanek, którymi wyprawiał drzewo do pobliskiej fabryki giętych mebli. Następnego dnia zszedł mu także na rozważaniu sprawy i namyśle — i dopiero trzeciego odpisał, co następuje:

„Kochana Bratowo! Niech Feliś i Gabriel przyjeżdżają. W przyszły czwartek konie będą na stacji. Co do procentu, o którym Bratowa pisze, to przecie ja tu za mieszkanie nie płacę, więc i wynajmować go nie mogę — a za wikt chłopców także nie wezmę, bo Zawada to nie restauracja. W domu jest dość miejsca, a co sam jadam, tym się z nimi podzielę. Nie miałbym też sumienia, gdybym się w taki sposób z Kochaną Bratową liczył. Prawda, że o gotówkę trudno, ale w najgorszym razie to się z wiktuałów coś niecoś przy okazji podeśle. Miło mi będzie chłopców na najcięższe czasy przygarnąć, a jeszcze milej Kochanej Bratowej wygodzić.

W zimie przy gospodarstwie roboty nie ma prawie żadnej, a w okolicy przepytam, ale też wątpię, bo teraz już i tu pokazują się jakieś zakazane figury, które ludzi bałamuca i o strajkach im gadają. Wieczory obecnie długie, więc niech chłopcy wezmą książki i sami się uczą, ażeby jak przyjdzie co do czego, mogli pozdawać egzaminy. Pomyślę i o tym, żeby im oczy na różne rzeczy otworzyć, ale to sobie wymawiam, żeby ani mnie, ani ludziom głowy nie zawracali, bo na wsi mamy co innego do roboty. Niech Kochana Bratowa będzie spokojna, że znajdą tu opiekę i serce, a co do zdrowia, to dom jest suchy i ciepły. O strachach też nieprawda, bo straszy nie w domu, ale jakoby w lesie, a i to tak tylko ludzie bają. Zresztą takie liberały w strachy nie powinny wierzyć. Śniegi u nas duże i sanna dobra, ale że spadły na niezamarzniętą ziemię, jest obawa, aby oziminy nie wyprzały. Daj Boże wczesną wiosnę, to i Bratową z Juleczką zaproszę do Zawady, tymczasem całuję ręce Kochanej Bratowej, a moją małą gospodynię ściskam serdecznie.

Przywiązany

Marian Nowicki”.

Następnego dnia po tej odpowiedzi Felicjan i Gabriel znaleźli się na kolei, którą jechało się do Zawady. Godzina była późna, gdyż pociąg wychodził niewiele przed północą. Na sali panował jednak duży natłok, a wagon trzeciej klasy, do którego dostali się chłopcy, zapchany był podróżnymi, po największej części Żydami. Obaj Nowiccy wybierali się w drogę z największą niechęcią, która odbijała się wyraźnie w ich zmęczonych twarzach. Woleliby byli sto razy pozostać w Warszawie, aby w dalszym ciągu naradzać się i działać. Ale zrozumieli, że była to konieczność, którą stwierdzał w okrutny sposób widok wychudzonej i stroskanej twarzy matki. Przy tym, gdy od kilku dni jakieś dziwne i plugawe figury jeły chodzić za nimi po mieście i przechadzać się pod ich mieszkaniem, matka poczęła tak rozpaczliwie nalegać na ten wyjazd, że nie było możliwości zwlekać dłużej.

Ale właśnie ten zbieg biedy domowej z niebezpieczeństwem z zewnątrz i ten przymus, któremu trzeba się było biernie poddać, były dla ich hardych dusz czymś jakby upokarzającym. Towarzystwo, w którym jechali, nie raziło ich w teorii bynajmniej, czuli jednakże, że między ich własną wewnętrzną egzaltacją a tym napełniającym wagon ohydny szwargotem, którego treścią mogły być tylko zyski pieniężne, leży przepaść. Odrapane i brudne wnętrza wagonu, mdłe światło okopconych olejnych lamp i duszna atmosfera napełniały ich na wpół świadomym, ale gnębiącym poczuciem lichoty życia. Z tych wszystkich powodów noc zapowiadała im się męcząca i nieznośna. W tłoku, hałasie i zaduchu nie mogło być mowy o śnie. Poczęli więc rozmawiać o tym, co będą przez pół roku robili w Zawadzie, a w rozmowie tej gorzyc spletała się z ironią. Stryj oto wymówił sobie, aby nie zawracali głowy ani jemu, ani ludziom, a jednak sam nie omieszka na pewno rozwieszać przed nimi rozmaitych spłowiących chorągwi i jałowych ideałów. Na tę myśl rodził się w nich bunt niepohamowany i tym dokuczliwszy, że zarazem podobny jakby do wyrzutów sumienia, albowiem pamiętali, że takie same chorągwie rozwieszała ze łzami w oczach przed nimi ich matka. Że zaś kochali ją ogromnie, więc zdawało im

się, że buntując się słusznie, buntują się jednakże przeciw tym łzom. I to była nowa, niewypowiedziana gorycz. A oprócz tego tylko ich mózgi pod wichrem nowych doktryn odjęły się dawnym idealom, ale gdzieś tam w głębi i na dnie serca była ukryta, jak owad w kokonie, mimowolna dla tych idealów cześć i jakaś wobec nich utajona trwoga, podobna do trwogi, jakiej ludzie doznają wobec zaświatowych duchów albo świętokradcy nocą w kościele. I od tego nie mogli się uwolnić. Nie czuli się też wcale szczęśliwi. Zdawało im się, że w głowach ich pali się światło jasne i jedynie prawdziwe, ale że nie promieniuje, nie rozświeca im życia i że chodzą jakby w zmierzchu. Widywali wszakże kolegów z takimi samymi latarkami w głowach, ale były to po części tępaki — prawdziwe gramofony, w które nagadano radykalnych frazesów — a po części charaktery niezmiernie liche. Wprawdzie i w nich obu te stany duszy były tak zamącone i niewyraźne, że nie umieli się nawet wzajem o nich rozmówić — odczuwali wszelako coś jakby wielki niepokój, który nie opuszczał ich ani na chwilę, a obecnie towarzyszył im w drodze do Zawady.

Noc wlokła się: godzina płynęła za godziną, przynosząc coraz większe utrudzenia. Pograżone w półmroku, w półświecie postacie ludzkie zaczęły się kiwać. Wrzaskliwy z początku szwargot cichł i ustawał. Zrywał się tylko znów na chwilę wówczas, gdy przez zapocone okna błysnęły latarnie stacyjne i gdy jedni podróżni wychodzili z wagonów, drudzy, poprzedzani falą zimnego powietrza, wchodzili i zajmowali miejsca. Te fale trzęziły chłopców, którzy nie mogli wprawdzie spać, ale których zmysły pod wpływem znużenia i jednostajnego odgłosu maszyny poczęły dębieć. W ten sposób przebyli sporą ilość stacyj, większych, pełnych gwaru, i mniejszych, tak cichych, że prócz nawoływań urzędników kolejowych, chodzących po peronie, i świstawki konduktora — nic nie przerywało milczenia. Nareszcie jednak okna z czarnych poczęły się robić sine, a potem blade. Na świecie wstawał ociężałe zimowy, niewyraźny, posępny dzień. W wagonie wychylały się z cienia mroczne kąty i siedzący w nich z pochylonymi głowami ludzie. Zakopcone lampy pogasły.

— Gabriel, widno już! — ozwał się Felicjan.

— I niedaleko — odpowiedział młodszy.

— Bardzoś zmęczony?

— Dosyc. A ty?

— Ciasno było i niewygodnie.

Poczęli przecierać powieki, a następnie spoglądać to na się wzajem, to na swoje tobołki, umieszczone w siatkach nad głowami. Obaj mieli twarze zmięte, podkrążone oczy i nieco gorączki, jak zwykle bywa po bezsennie spędzonej nocy. Jednakże gdy minęli przedostatnią stację, wagon opustoszał prawie zupełnie. Tylko na przeciwległej ławce siedział jakiś stary człowiek z twarzą suchotnika, który kaszlał okrutnie przez całą noc, a obecnie otrząsnął się z odrętwienia i począł z nimi rozmawiać. Po zwykłych początkowych pytaniach i odpowiedziach rozmowa rychło przeszła na ostatnie wypadki warszawskie i krajowe. Stary człowiek potępiał niektóre objawy bardzo surowo, chłopcy zaś poczęli ich bronić, skutkiem czego odsłonił się ich sposób myślenia. Ale nie zaniepokoiłi się tym, albowiem z zapadniętych, mistycznych oczu suchotnika patrzyła nie zdrada, lecz jakby głęboka melancholia człowieka, który jest u brzegu życia i który w dalszą, nieznaną drogę wybiera się w trosce i niepokoju. Jednakże sam on po pewnym czasie zmienił przedmiot rozmowy — a następnie dowiedziawszy się, dokąd chłopcy jadą, oświadczył im, że pana Nowickiego i Zawadę zna od dawna, a jeszcze lepiej Zawadzki las, gdzie w sześćdziesiątym trzecim roku odbyła się bitwa, a raczej zagłada powstańców, otoczonych przez siły dziesięćkroć większe.

Chłopcy w czasach wakacyjnych słyszeli nieraz o tej bitwie, ale niedobrze, gdyż stryj ich nie był wówczas w domu, tylko wraz z rodzicami na emigracji w Czechach, gdzie oddano go na praktykę gospodarską. Teraz dopiero usłyszeli o niej dokładnie i z tego powodu szczegóły, które opowiadał podróżny, wydały im się czymś ogromnie żywym. Czuć w nich było jakby zapach prochu i krwi. Mówił, że wskutek wilgotnego dnia strzały karabinowe i armatnie wówczas zadymiły cały borek, iż stało się w nim ciemno. Powstańcy potracili się z oczu i, błądząc pojedynczo lub niewielkimi kupkami po omacku, z krzyków tylko poznawali, gdzie kogo mordowano. W końcu wybito też prawie wszystkich. Na chłopców dziwne wrażenie robiło to, że podróżny, który widocznie brał udział w bitwie,

choć o tym wyraźnie nie wspominał, opowiadał o całej tej tragedii spokojnie, głosem zupełnie beznamietnym, bez skargi na dowódcę, który pozwolił się otoczyć — i bez żalu, a nawet jakby z tęsknotą za rzeczami, które przeszły i zasunęły się w cień przeszłości. Zdziwienie ich wzrosło jeszcze bardziej, gdy w końcu oświadczył, że były to jednak czasy od dzisiejszych lepsze, a zwłaszcza szlachetniejsze.

— Dlaczego? — zapytał Felicjan.

— Naprzód dlatego — odpowiedział wolno i z naciskiem podróżny — że drzewo nie próchniało od środka, po wtóre dlatego, żeś wiedział, kto swój, kto cudzy, a wreszcie, że ludzie wiedzieli, dla jakiej sprawy i z czyich rąk giną.

Chłopcy chcieli rozpocząć spór, ale on wśród nowego napadu kaszlu machnął tylko ręką na znak, że z góry wie, co chcą powiedzieć, a potem odetchnął głęboko, popatrzył na nich jakimś szczególnym wzrokiem i zniżywszy głos zapytał:

— Powiedzcie mi, czy wy się nigdy nie boicie?

— Czego?

— A choćby tych, co leżą po wszystkich polach, lasach i ot tu także, w Zawadzie, pod chojarami?

Nastąpiło milczenie. Felicjan i Gabriel spojrzeli po sobie ze zdumieniem, a następnie oczy ich zwróciły się na towarzysza podróży, ale on widocznie wyczerpał się kaszlem i rozmową, albowiem oparł głowę na worku stojącym w kącie ławki — i przymknął powieki. Wychudzona i zmięta jego twarz podobna była do twarzy nieboszczyka. Przykre i dziwne wrażenie, jakie uczyniły na chłopcach ostatnie jego słowa, rozproszył dopiero świst lokomotywy.

Chory towarzysz widocznie jechał dalej, bo nie poruszył się i nie otworzył oczu, wysiedli więc bez pożegnania. Na stacji czekały już konie z Zawady. Ale pokazało się, że stary furman pana Mariana przyjechał z całym rejestrem sprawunków, a przy tym musiał pilnować furmanek, które przywiozły drzewo do fabryki giętych mebli. Z tego powodu oznajmił paniczom, żeby poczekali „z godzinkę, ze dwie” albo żeby, jak to już nieraz robili, sami powieźli się do Zawady, on zaś po załatwieniu sprawunków wróci z furami po drzewie. Paniczom wcale nie śpieszyło się do Zawady, ale po całonocnym kołataniu się w wagonie jeszcze mniej chciało im się czekać bez końca w nędznym miasteczku, oznajmili więc, że wolą jechać sami. Jakoż w kwadrans później, napiwszy się herbaty, ruszyli w drogę.

Koło stacji i fabryki było trochę ruchu, ale samo miasteczko, leżące o wiorstę od stacji, nie rozbudziło się jeszcze całkiem, gdyż godzina była wczesna. Na rynku przejechali koło kilku fur chłopskich, zaprzężonych w chude konie z torbami uwiązanyymi u głów; pod ścianami domostw przesuwali się tu i ówdzie pojedyncze postacie, gdzieś otwierano dopiero skrzypiące drzwi domów i okiennice sklepów. W senną szarość dnia i wilgotne powietrze wpadał głos sygnaturki — uporczywy, ale jakby zmartwiony nędzą lichych domów i marnością tego życia, do którego budził ociężałą mieścinę.

W ulicy, na którą wjechali z rynku młodzi Nowiccy, pustka była jeszcze większa — i psy poszczekiwały jak na wsi. Minęli ją wkrótce i znaleźli się na gościńcu wiodącym do Zawady. Śnieg leżał duży na polach i na drodze, ponieważ jednak była odwilż, więc zmiękł i płozy sań sunęły się bez szelestu. Dzień uczynił się już zupełny, ale mglisty. Z bliska można było widzieć dobrze drzewa przydrożne, natomiast dał majaczyła jakby przesłonięta muślinem. Miejscami gęstsze tumany wstawały na rozległych, białych polach i wlokły się ku drodze, długie, leniwe, popychane nie wiedzieć jaką siłą, gdyż nie było żadnego wiatru. Chwilami zakrywały całkiem okolice, to znów rzedły odsłaniając bliższe zadmy⁷ śnieżne, zasute⁸ krzaki i polne grusze, śpiące na dalekich miedzach pod okiścią. Kiedy niekiedy rozlegało się w górze stłumione, smutne krakanie wron lecących stadami od lasu ku miasteczku.

Smutek był jednak nie tylko w tych głosach, ale wszędy⁹ — w posępnym świetle dnia, w śnieżnych, milczących rozłogach, we mgle i w duszach chłopców. Wydało im się, że z wrzącego życiem, walką i upojonego nadzieją zwycięstwa otoczenia wysłano ich w jakąś

⁷zadma — wydma. [przypis edytorski]

⁸zasuty — zasypyany, przesłonięty. [przypis edytorski]

⁹wszędy (daw.) — wszędzie. [przypis edytorski]

bezkresną krainę odrętwienia i śmierci, która zniemrawi ich, ubezwładni, zmorzy i uśpi. Ale właśnie dlatego ów przenikliwy smutek zmienił się w taki sam gorzki wewnętrzny protest, z jakim wyjeżdżali z Warszawy, a następnie w taki sam ostry bunt przeciw tym warunkom, w jakich musieli żyć — i przeciw tej konieczności, która ciągnęła ich jak na powrozie tam, dokąd nie chcieli iść. Opanowała ich silniej niż kiedykolwiek myśl, która stale tkwiła w ich głowach, że jeśli to wszystko, co się nazywa dzisiejszym życiem ludzkości i jego światłem przewodnim, nie da się przewrócić i zdeptać, to lepiej niech przepadnie samo życie. Poza tym zadaniem istniały w ich pojęciu tylko rzeczy marne lub zmurszałe, równoznaczne z pleśnią i zgnilizną. Po bezsennie spędzonej nocy wpadli ze zmęczenia jakby w gorączkę, która potęgowała tę wewnętrzną rozterkę. Próbowali o tym rozmawiać, ale im nie szło. Felicjan bowiem powoził z kozła i musiał uważać na drogę. Nie przeszkadzało mu to jednak szarpać się wewnątrz i protestować przeciw wszelkim władzom, które tak unieruchamiają duszę ludzką u pewnych brzegów, jak łańcuch kotwicy unieruchomił lotną łódź w przystani.

Było zaś to targanie się tym cięższe, że od tych pól zimowych, od tej mglistej przetrzeni, od tej białej pustki, od grusz śpiących na miedzach i od tego okolnego smutku coś szło i wołało na obu chłopców jakby po imieniu, coś ogarniało ich jak swoich, coś wchłaniało ich w siebie. Gabriel, który był wrażliwszy od Felicjana, odczuwał to mistyczne jakieś prawo przynależności silniej, a nie zdając sobie z niego jasno sprawy, walczył z nim jednak uparcie i męczył się tym więcej oporem. Wreszcie wyczerpał się. Myśli i wrażenia poczęły mu bezładnie napływać do głowy, drgać, zbiegać i rozbiegać się, mieszać i przeskakiwać się nawzajem. W uszach huczał mu turkot kół wagonu, oddech lokomotywy, szwargot podróżnych Żydów, a w te głosy wplatała się rozmowa ze starym suchotnikiem. Słyszał teraz wyraźnie jego kaszel i jego opowiadanie. Oto wjeżdżają właśnie w ów zawadzki borek, niegdyś zadymiony od wystrzałów, pełen nawoływań się, krzyków i jęku. A teraz jak tu cicho i mglisto! Zdawałoby się, że tu nikt nigdy nie krzyczał, prócz wron i pastuchów — i nikt by się nie domyślił, że tu leżą powstańcy.

A jednak ten dziwny suchotnik mówił, że to były szlachetniejsze czasy, że ludzie wiedzieli, za co giną. A dziś co? — czy to niby nie wiedzą, czy dusza ludzka nie rozokolowała się dziesięć razy szerzej? Tamto była przecie wojna o jakąś jedną dość ciasną sprawę, a teraz chodzi o cały świat i o wolność tak rozlewną i bezbrzeżną jak morze. Ej! stare dzieje niech śpią, a stare idee niech się nie włóczą jak zmory po świecie. „Trzeba z żywymi naprzód iść, po życie sięgać nowe¹⁰...” Dziwny wszelako ten zakaszlany pan ze swymi pytaniami: „Czy wy się nie boicie tych, co tam leżą pod chojarami?”. Jakie głupstwo! Są czasem wrażenia niewytłumaczone i męczące. Od niczego się łatwo nie odchodzi, a gdy się coś przyrośniętego odcina, to zawsze boli, zwłaszcza gdy i ktoś drugi na tym cierpi. Każdy miewa też chwile jakiegoś niepokoju — i... dobrze, że się ten borek już kończy, bo takie wspomnienia, jakie się z nim łączą, to także swego rodzaju zmora.

Tu nagle ocknął się, albowiem sanki stanęły.

— Feliś, czemuś stanął? — zapytał.

Ale głos jego zabrzmiał we mgle jakoś dziwnie, jakby mówił ktoś obcy i z daleka.

A brat zwrócił ku niemu twarz i odrzekł równie nieswoim, zająkliwym głosem:

— Nie wiem... konie sta... nęły...

Nastała chwila ciszy, tylko konie zaczęły przysiądać na zadach i chrapać głośno.

Byli już u samego wylotu zawadzkiego borku i w pierwszej chwili nie ujrzeli nic, co by dać mogło powód do niepokoju, a tym bardziej do strachu, a jednak w mgnieniu oka włosy zjeżyły się im pod czapkami, zęby poczęły szczekać, a źrenice rozszerzyły się z trwogi.

Jakieś niepojęte przerażenie nappełniło las, powietrze i mgłę, której białawy, wydłużony obłok przesuwiał się w poprzek drogi, wzdłuż sosen. Nastąpiła chwila zakrzepłej, trupiej ciszy.

A wtem z owej mglistej otoczy wychylił się oddział kosynierów.

¹⁰Trzeba z żywymi naprzód iść — słowa wiersza *Daremne żale* Adama Asnyka (1838–1897), uczestnika powstania styczniowego, a następnie pozytywisty. [przypis edytorski]

Szli chłopci w sukmanach, z drągami osadzonych sztorcem kos na ramionach. Przechodzili polem, tuż na skraju lasu i niedaleko od sanek. Ale kroki ich, lubo¹¹ strudzone i ciężkie, nie wydawały najmniejszego szelestu. Nie było słycać ni brzęku kos, ni gwaru rozmowy. W pierwszym szeregu szedł ksiądz w kapturze na głowie i z krzyżem w ręku. I on, i ci, których wiódł, mieli głowy pochylone na piersi i przeciągali nie jak żołnierze w pochodzie, ale raczej tak, jak ludzie idą na procesji lub za pogrzebem. Zdawało się, że wcale nie widzą sanek i nie słyszą chrapiących koni, albowiem żaden nie odwrócił ku nim twarzy. I w tej obojętności, w tych pochylonych postaciach, w tym zaświatowym milczeniu było coś tak martwego, że patrzącym na nich chłopcom ani na chwilę nie powstała w zlodowaciałych mózgach myśl, że to mogą być ludzie żywi, nie zaś widma zmarłych, którym jakaś tajemnicza siła kazała wrócić na świat i iść przez śniegi — w pośmiertnym zamyśleniu.

A jednak zjawa miała przeraźliwe pozory rzeczywistości. Tuż po kosynierach przejechał martwich¹² na koniu, widocznie dowódca. Chłopcy widzieli, że biegł przy nim pies, który zdawał się wietrzyć po śniegu. Po czym począł przeciągać oddział strzelców z bagnetami na lufach karabinów i z chorągwią, w której zwisłych fałdach zaginał się orzeł biały. Ci szli również powolnie, zatopieni w ciszy i śmiertelnym smutku. Szereg za szeregiem przekraczał drogę leśną, a z nimi razem przetaczała się cicha, przezrocza mgła, ledwie przesłaniająca kształty widziadeł. Doszedłszy do krańca borku naprzód kosynierzy, a potem strzelcy zawrócili na rozległe pola i poczęli się oddalać, a zarazem stopniowo zacierać. Tuman, gęstszy przy ziemi, jął¹³ pokrywać od dołu ich postacie, tak że wkrótce tylko ramiona i głowy widoczne były nad białawą topielą; potem ostrza bagnetów i kos zamajaczyły jak ciemniejsze kreski w odległym oparze, a wreszcie wzięła ich w siebie dal milcząca — i śnieżna przestrzeń, i pustka polna.

Pęd powietrza rozbudził chłopców jak ze snu. Nie było wcale wiatru, ale konie poniosły i pędziły w szalonym, dzikim biegu do Zawady. Felicjan dlatego tylko nie wypuścił lejców, że mu się dłonie zacisnęły konwulsyjnie. Nie zdołał jednak powstrzymać pędu i pochylony na koźle, na wpół przytomny, z oczyma w słup słuchał słów Gabriela, który targając go za ramiona powtarzał zdyszczanym, łkającym głosem:

— Feliś!... widziałeś?...

— Feliś! to krew woła!...

I nagle wybuchnął ogromnym płaczem.

Dopiero przed samą Zawadą potrafił Felicjan pohamować rozhukane konie. Chłopcy przyjechali bladzi, milczący, z gorączką i tajemnicą w oczach. Ale na próżno pan Marian wypytywał się, co im jest i dlaczego konie przyszły w pianie. Usłyszał tylko odpowiedź, że przestraszyły się czegoś w lesie i poniosły. Bracia nie mówili przez kilka dni o zjawisku nawet ze sobą. Felicjan, który miał umysł trzeźwiejszy i bardziej badawczy, chodził czas jakiś głęboko zamyślony i wreszcie doszedł do przekonania, że to były zapewne ich własne wrażenia i uczucia, które jakąś tajemniczą i niezbadaną jeszcze przez naukę drogą wyszły z nich i zmieniły się w widzialne zjawisko zewnętrzne. Ale myślał zarazem, że krew przelana, budząc takie uczucia i złudy, może istotnie woła, że nie wolno o niej zapominać.

Lecz widzenie zapadło jeszcze głębiej we wrażliwą duszę Gabriela; więc gdy go nieco ukołowała zimowa cisza Zawady, począł pisać wiersz: „Do Matki Bolesnej”, pod nagłówkiem zaś umieścił jako motto następujące słowa Dawida¹⁴:

„O Jeruzalem! Jeruzalem! jeśli cię kiedy zapomnę, niech będzie zapomniana prawica moja¹⁵...”

¹¹lubo (daw.) — choć, chociaż. [przypis edytorski]

¹²martwich — trup. [przypis edytorski]

¹³jął (daw.) — zaczął. [przypis edytorski]

¹⁴słowa Dawida — słowa biblijnych *Psalatów*, których autorstwo przypisywano królowi Izraela Dawidowi (1040–970 p.n.e.). [przypis edytorski]

¹⁵O Jeruzalem (...) *prawica moja* — słowa *Psalmu* 137. [przypis edytorski]

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/sienkiewicz-we-mgle>

Tekst opracowany na podstawie: Henryk Sienkiewicz, *Baśnie i Legendy*, wybór i wstęp - Tomasz Jodelka-Burzecki, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1986.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Fundację Nowoczesna Polska z książki udostępnionej przez Martę Niedziałkowską. Dofinansowano ze środków Narodowego Centrum Kultury w ramach Programu Narodowego Centrum Kultury - Kultura - Interwencje.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Sekuła, Dorota Orzechowska, Paulina Choromańska.

ISBN 978-83-288-0916-1

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przeznacz 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przeznacz darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.